

# RozJazdy<sup>Nr2</sup>

KWARTALNIK KOŁA TURYSTYCZNEGO

W tym  
numerze:

---

O PATRONACH

str. 4



WIZYTA W  
CHARTUMSKIM  
SUKKU str. 6



GÓRY STOJĄ  
TAM GDZIE  
STAŁY str.9



KONTROLA  
PASZPORTOWA  
str.19



CHWILA NA  
ZATRZYMANIE  
str.22



BĄDŹ TURYSTĄ  
WE WŁASNYM  
MIEŚCIE str.24



TAJEMNICZY  
KSIĄŻ str.30

## Słowo wstępu



Szlak przetarty!

W imieniu zespołu redakcyjnego dziękujemy za bardzo pozytywny odbiór pierwszego numeru, jak i za rady, które z pewnością pomogą w obraniu kierunku dalszego rozwoju pisma. Za nami już wakacje. Dlatego też drugi numer „Rozjazdów” obfituje głównie we wspomnienia i przemyślenia z długich letnich dni. Nie zabraknie jednak szczypty historii Koła oraz tajemniczych opowieści, które kryją w sobie korytarze zamku zbudowanego dla cesarza Wilhelma II. Pojawią się również gorące wspomnienia z afrykańskiej wyprawy archeologicznej. A dla odmiany nasi patroni trafią do zimnych skandynawskich krain.

Tuż przed wydaniem drugiego numeru odbyło się wydarzenie godne odnotowania na pierwszej stronie. Nasi patroni Leon Mroczkiewicz i Tadeusz Perkitny zostali uhonorowani miejscem w Alei Podróżników w Krakowie! W uroczystości uczestniczyła oczywiście silna reprezentacja Koła Turystycznego. Bardziej wnikliwa relacja z tego wydarzenia pojawi się w trzecim numerze.



Tymczasem w imieniu redakcji zapraszam do lektury drugiego numeru.

Igor Stryniak





## Zdjęcie numeru:

Szlak turystyczny prowadzący wzdłuż rzeczki. Górskie pasma wznoszące się po obu stronach. I wąska, zakręcająca ścieżka, pnąca się po zboczu z prawej.

Byliśmy tego dnia już zmęczeni, nie mieliśmy w planach chodzenia po górach. A jednak ciekawość wygrała. Zboczyliśmy ze szlaku, żeby zdobyć szczyt.

Zdjęcie. Ostatnie zdjęcie zrobione przed rozładowaniem baterii w aparacie. Zdjęcie najlepiej oddające klimat tamtej wędrówki.

Nie wiem nawet, jak się nazywało to pasmo. Nie znam nazwy tego szczytu. Pamiętam tylko tę wspinaczkę, pod zachmurzonym niebem, z wijącymi się krzaczkami jagód pod nogami i zielonymi pastwiskami, rozciągniętymi za plecami, daleko w dole.

Walia, sierpień 2019

Weronika Dolata

# Z Leonem i Tadeuszem dookoła świata

No i cóż, że do Szwecji?

Razem z patronami Koła Turystycznego – Leonem Mroczkiewiczem i Tadeuszem Perkitnym odbywamy podróż dookoła świata. Wyprawa, która rozpoczęła się 11 września 1926, trwała 3,5 roku i poprowadziła naszych bohaterów przez 36 krajów na 5 kontynentach. Wszystko rozpoczęło się w Szwecji...

Leon i Tadeusz pieniądze na podróż musieli zarobić. Rozpoczynali wyprawę tylko z setką złotych oraz ulubionym prowiantem, czyli śliwkowymi powidłami i ogórkami kiszonymi. Przekonamy się jeszcze, że zakres podejmowanych przez naszych patronów prac, był niebywale szeroki. Studio fotograficzne w środku dżungli, pomiary terenu poprzedzające budowę linii kolejowej w Argentynie, niańczenie dzieci, sprzątanie w pensjonacie – między innymi tak będą zarabiać pieniądze. Znalezienie zajęcia czasami przychodziło dość łatwo, ale często wymagało sporych wysiłków. Wielką wyprawę nasi patroni rozpoczynają od Szwecji, z którą jak sami twierdzą łączyły ich bardzo zażyłe stosunki.

„Na uniwersytecie bowiem mieliśmy kolegę zwanego Rudym Julkiem, od którego przez rodzoną ciotkę, przyjaciółkę tejże córki i dalszą krewną po babce tejże przyjaciółki łańcuch naszych znajomości wiedzie wprost do Malmö. Tam mianowicie pędzi ponoć żywot teściowa owej dalszej krewnej obok męża Szweda, o ile przypadkiem nie rozwiodła się z dziadem albo nie umarła. Nilson zowie się podobno owa czcigodna i ostatni znak życia dała rodzinie przed laty dwudziestu.”

Poszukiwania państwa Nilson (które to nazwisko pod względem popularności Tadeusz Perkitny szybko porównuje do poznańskich Kaczmarków) na podstawie adresu sprzed 20 lat trwały długo. Jednak dzięki niebywałemu zbiegowi okoliczności Leon i Tadeusz pełni nadziei trafiają pod właściwy adres, co wcale jeszcze nie oznacza sukcesu.

„Cały nasz program znalezienia pracy w Szwecji zbudowany jest na jednym wielce mądrym zdaniu: »Przypuśćmy, co by było, gdyby?« .





Co by było, gdyby do jakiegokolwiek dyrekcji lasów państwowych w Polsce zgłosił się inżynier leśnik Szwed i gdyby pokazując jeszcze ciepłe zaświadczenie szwedzkiego uniwersytetu, oświadczył, że dla poznania polskich lasów chce popracować u nas przez miesiąc jako zwyczajny drwal?

Co by było wtedy?

Każde dziecko wie, co by było! Byłoby lokowanie Szweda w klubowym fotelu. Byłoby przemawianie, bieganie, układanie programu i telefonowanie do wszystkich nadleśnictw. Byłoby uroczyste witanie i uroczyste żegnanie Szweda co dwa kilometry – nie mówiąc już o dodatkach tak oczywistych, jak obwożenie Szweda wolantem, zarzynanie gęsi i pojenie maślanką przy każdej leśniczówce.

Niestety. Cała nasza maślankowa teoria okazuje się czysto krajową konstrukcją myślową, która nie znosi eksportu i która już podczas pierwszej wizyty w szwedzkiej dyrekcji lasów państwowych spada nam na głowy niby kupa gruzów.

-Co? Zajęcia panowie szukają tutaj, u nas, w Szwecji? Chcecie rąbać drzewo? – dziwi się, ziewając, jakiś szpakowaty pan. – Na co? Po co? Niby z jakiej racji? Toć mamy dosyć naszych własnych drwali! Toć u nas kryzys, bezrobocie, stagnacja! Niezmiernie mi przykro. Strasznie ubolewam, ale do widzenia panom!”

Czy nasi patroni skapitulowali? Czy zakończyli w tym miejscu swoją podróż i wrócili do Poznania? Oczywiście, że nie! Trzeba było co prawda pokonać setki kilometrów szwedzkich dróg i bezdroży, żeby w końcu trafić do Matfors i tam znaleźć pracę w fabryce ścieru drzewnego, celulozy i papieru. Zajęcie wymarzone, bo związane z lasami i drewnem, a więc zgodne z wykształceniem Leona i Tadeusza. Pierwszy krok w drodze dookoła globu został postawiony!

Opisy podróży pochodzą z książki Tadeusza Perkitnego pt. „Okrażmy świat raz jeszcze”.

## Wizyta na chartumskim sukku

.....

Lista zakupów, bez których nie możemy wrócić z targowiska gotowa!

Banany to ważny element naszej diety w Chartumie, a przechowywany w lodówce arbuza będzie wspaniale gasił pragnienie po kilku godzinach pracy na wykopaliskach w 46-stopniowym upale. A więc ruszamy!

Sukk (targowisko) podzielony jest na kilka kwartałów. Można tu kupić wszystko od ubrań przez sprzęty gospodarstwa domowego, środki czystości, warzywa, owoce, przyprawy po tradycyjne wyroby z drewna i kości. Tłum ludzi, zewsząd słycać uprzejme zaproszenia – faddal (zapraszam), pytania kupujących – kam? (ile kosztuje?). Od kolorów i zapachów kręci się w głowie. Kupujemy wszystkie niezbędne produkty, dajemy się jeszcze namówić na zakup owoców baobabu (zawierają dużo witaminy C), a następnie skręcamy w niewielką, wąską uliczkę. W małych sklepikach można kupić rękodzieło – fantastyczne naczynia w formie wycinka kuli, wykonane z jednego kawałka drewna, naczynia drewniane z rysunkami lub postaciami zwierząt, pojemniki na wodę wykonane z tykwy.

*albatikh*  
(arbuz)

*muz* (banany)

*aljarub furut*  
(grejpfruty)

*alburtaqal*



Nas fascynują dziś jednak drewniane podglówki; przypominające staroegipskie ures. W starożytnym Egipcie wykonywane były z kamienia lub drewna, składały się z półokrągłej części, na której opierano głowę i jednej lub dwu kolumnienek, na których wspomniana część była podparta.





Pozwalało to na wygodny sen na boku, a dodatkowo zapewniało cyrkulację powietrza wokół głowy, co było nie do przecenienia w gorącym klimacie. Sudańskie podglówki do złudzenia przypominają te egipskie. Prosty, wygodny przedmiot, którego wykonanie i zastosowanie nie zmieniło się przez tysiąclecia... Ciekawe czy damy radę na tym spać?



W następnej części wszelkiego rodzaju pojemniki i talerze wyplatane ręcznie z trzciny. Sprzedawane są w dwóch odmianach – w jednolitym, jasnym kolorze oraz w całej paletce barw.

Kupujemy, zachęceni przez sprzedawców, którzy starają się zadowolić nawet najbardziej wymagających klientów. Targujemy się mocno, bo to swoisty rytuał. A po zakupach... obowiązkowo pijemy sok z limonek z dodatkiem mięty, który wspaniale gasi pragnienie.

I ruszamy dalej w drogę na położony nieco za miastem sukk el bagara, czyli „krowi targ”. Po drodze możemy podziwiać wspaniałą panoramę miasta.



Na pierwszym planie uprawy nad Nilem. W tle widoczne wieżowce w kształcie kości żaglowca.

Przywiodło nas tu pragnienie obejrzenia z bliska bydła zebu. Jest to domowe bydło garbate, które zostało udomowione w starożytności, z masywnymi rogami i garbem na grzbiecie. Pochodzi najprawdopodobniej z Indii, może osiągać wysokość 160 cm w kłębie i ważyć nawet 700 kg. Ciekawe jest jego ubarwienie od jasnożółtego i czerwonego po szare, czarne i plamiste.

Chodzimy, oglądamy, robimy zdjęcia, sprzedający uśmiechają się do nas, pytają skąd jesteście. Usatysfakcjonowani wracamy do domu.



Jeszcze tylko ... obficie posłodzona gahua be habbahan (kawa z imbirem). Nigdzie na świecie nie smakuje tak dobrze jak w Chartumie!

W przyszłym tygodniu wybieramy się do domu pałacu Mohammeda Ahmeda, którego dobrze pamiętamy ze spotkania ze Stasiem Tarkowskim, bohaterem książki „W pustyni i puszcy”.





# Góry stoją, tam gdzie stały

.....

Wielkość i mistyczna aura Tatr jest nie do opisanania. Nie można wpadać w zbyt wielki zachwyty, bo wyda się to nazbyt dziecinne i grozi zarzutem oderwania od rzeczywistości. Przypomina mi się tu przykład pewnej malarki, która, skupiając się na pięknie gór (zresztą interesująco oddanym w obrazach), zrobiła kardynalny błąd, podpisując wysokości bezwzględne szczytów w metrach! Trzeba też wziąć pod uwagę, że licealiście nie jest łatwo wejść na pisarskie wyżyny, a mówimy tu przecież już nie o wyżynach, a o wysokich górach! Jedyne, co mogę zaoferować, to własne spojrzenie na ten bliski mi, a jednak odległy świat. Spróbuję opisać historię mojego starcia z wybitnymi turniami i wierzchołkami.

W Tatrach byłem może ze cztery razy w życiu, głównie jednak z moim tatą maszerowałem po wierchach słowackiej części gór. Osiągałem cele, jak patrzę z perspektywy, prawie nieosiągalne dla mojego ówczesnego wieku. Parę razy zdarzyło mi się zahaczyć o polską część Tatr. Zdobyłem jako dziesięciolatek Rysy, a następnym razem byłem na przełęczy Zawrat i przeszedłem fragment Orlej Perci – do Koziej Przełęczy, z owianą legendą drabinką włącznie.

W roku 2020 przyszedł czas na kolejne poważne tatrzańskie wyzwanie. Cel wyprawy był jasny: zdobyć najwyższy szczyt usytuowany w całości po polskiej stronie gór – Kozi Wierch. I dokończyć to, co rozpoczęte – przejść najtrudniejszy tatrzański znakowany szlak. Wyprawa zapowiadała się poważnie, jak na powrót po sześciu latach, i nie byłem pewny, czego się spodziewać. Ale zdawałem sobie sprawę, że to najwyższa pora, żeby tam wrócić. Plan zakładał trzy dni: dzień „aklimatyzacji”, dzień głównych atrakcji (Orla Perci) i dzień rezerwowany, na wypadek, gdyby nie dopisała pogoda, choć prognoza była bardzo dobra.

..... **Aklimatyzacja** .....

Nieco sponiewierany przez kolejowe siedzenia nocnego pociągu do Zakopanego, spoglądałem niecierpliwie przez okno na przybliżające się ostre, strzeliste góry. Pociąg przyjechał na stację końcową równo o 8 rano. Zgrzyt hamulców, zbierasz się, plecak na plecy, wychodzisz i... na peronie wita cię góral z tabliczką: „Wolne pokoje” – i już wiesz, że jesteś w Zakopanem!



Ósma może wydawać się wczesną godziną, jednak i tak już dyskwalifikuje pomysł ataku głównego celu pierwszego dnia. Na to trzeba jeszcze wcześniejszej pory. Szybko skierowaliśmy się z tatą w stronę pobliskiego baru Fis, który – jak usłyszałem – choć w różnej kondycji, istnieje tam właściwie od zawsze. To spod tego miejsca odjeżdżają busiki w różnych kierunkach. Bardzo mnie zaskoczyła organizacja przewozu turystów. Kierowcy nie walczyli o swoje pierwszeństwo, lecz wskazywali pojazd, który odjeżdża najszybciej, co sprawiało wrażenie perfekcyjnej organizacji i komitwy zawodowej. Na pytanie: „Który jedzie do Kir?”, jeden z kierowców, niczym dyspozytor ruchu zarządzający zagubionymi turystami, odpowiedział: „Kiry: sto czterdzieści cztery” i dodał ze śmiechem, że to się nawet rymuje. Czym jest „sto czterdzieści cztery” – nie wiem do dziś, nie było czasu dopytać, gdyż nadjeżdżający właśnie busik „zgarnął” nas z pasów przed dworcem, zatrzymując się z otwartymi drzwiami. Ze środka padła komenda: „Wsiodojcie!”.

Po paru minutach jazdy dotarliśmy do Kir – wstępu do urokliwej Doliny Kościeliskiej, o tej porze jeszcze wolnej od tłumu spacerowiczów. Ruszyliśmy od razu na szlak, uiszczając opłatę za wejście do Tatrzańskiego Parku Narodowego. Idąc wzdłuż potoku, rozglądałem się to na jedną, to na drugą stronę. Na pobliskich pagórkach było pełno poprzewracanych, uschłych drzew. Kiedy skręciliśmy na szlak czerwony, dróżka zaczęła piąć się w górę. Tatrzańskie szlaki podejściowe są bardzo wygodne (jeśli można tak powiedzieć o ciągłym marszu pod górę). Są rozważnie wyznaczone, z dobrym, jak dla mnie, nachyleniem – nie traci się zbyt dużo czasu na trawersowanie zbocza. Pomyślałem: dlaczego nie ma tak wyznaczonych szlaków w Górach Wałbrzyskich, w których z „całego Koła Turystycznego” lał się pot i wypływały łzy na widok kolejnej drogi idącej pod górę? Miarowym krokiem pokonywałem kolejne metry, wciąż wyżej i wyżej, mijając strefę lasu i wkrótce – kosodrzewiny.



*Oznakowanie szlaku w okolicach Ciemniaka.*

Weszliśmy na pierwszy dwutysięcznik: Ciemniak. Pogoda była korzystna, przelatujące przez przełęcz chmury rozбивały się o szczyty, odsłaniając widoki. Nie padało. Widać było rozległą panoramę Tatr Wysokich i Zachodnich, które przemierzaliśmy. Przed nami była Krzesanica i szczyt o dźwięcznej nazwie – Małołączniak, za nim Kopa Kondracka, a w oddali Giewont. Wszystko to miało dziś zostać zdobyte. Choć na dole temperatura sięgała 20 st. C, tu na górze była okazja, by założyć kurtkę, czapkę i nawet rękawiczki.







Widok na Tatry Wysokie ze stoku Małolącziaka, na pierwszym planie Kopa Kondracka.

Atmosfera niesamowita – wszyscy idą i obserwują, słychać tylko świst wiatru, przerywany co jakiś czas krótkim „Cześć!” lub „Dzień dobry!”. Inny świat. Myślisz tylko o tym, gdzie zrobisz kolejny krok i zdaje się to najważniejsze. Około południa byliśmy już na Krzesanicy. Choć był to najwyższy szczyt na dzisiejszej „aklimatyzacyjnej” trasie, nie obawiałem się go najbardziej ani też specjalnie nie wyczekiwałem. To Giewont – szczyt, który wzbudzał u mnie dziwną niepewność – był moim celem dnia.

Zdecydowanie mam problem z Giewontem. Tam jest po prostu za dużo ludzi, szczyt jest wyeksploatowany do granic możliwości, a nie jest ani bezpieczny, ani też nadzwyczajny pod względem atrakcji wspinaczkowych. Owszem, jest charakterystyczny, wyróżnia się. Jest rozpoznawalny dla wszystkich – także przez metalowy krzyż, którego konstrukcja góruje nad Zakopanem, a z dołu wygląda jak... wystająca z ust śpiącego rycerza wykałaczką. Słyszałem mnóstwo historii z Giewontu: o słynnych „kolejkach” turystów i wyślizganych kamieniach, o masowym porażeniu piorunem na łańcuchach, o „zbieganiu” ze szczytu kończącym się upadkiem na głowę czy wielokrotnych informacjach, że ktoś tam uległ kontuzji czy zasnął. I nie wiem, czy to ta góra jest tak niebezpieczna, czy też raczej ludzi nierozważni, nieprzygotowani do wędrowek po Tatrach? I bez burzy ten szczyt był dla mnie pokryty rodzajem demonicznego cienia.



Szczyt Giewontu.





Magia gór podczas podejścia pod Giewont gdzieś odfrunęła z przelatującymi chmurami. Choć ludzi było zdecydowanie nie tak dużo, jak w opowieściach (kolejki nie było), to i tak dało się odczuć bardziej atmosferę pikniku w centrum miasta niż górskiej wędrowki. To jednak dla mnie szczyt symboliczny, który „musiałem” pokonać. Ale też był to mały sprawdzian sprawności w poruszaniu się po skałach i „na łańcuchach” oraz test dla podeszw butów – przed czekającymi mnie następnego dnia wyczynami.

Podejście pod Giewont jest stosunkowo proste, jednak zejście może sprawiać pewne problemy, głównie z powodu „wyślizgania” skał. Na samym szczycie jest też miejsce, które nie wzbudza zaufania. Tuż za krawędzią kamienistej grani szczytowej wyrasta trawa, a za nią jest przepaść, której nie widać, choć jest dosłownie o krok. Łatwo o lot wprost do Zakopanego. Ludzie bardziej uważają, by zrobić udane zdjęcie, niż na siebie i innych.



*Wyślizgane skały na Giewoncie.*

Poziom zagrożenia przy tej liczbie odwiedzających Giewont oceniłem na dość duży i też z tego powodu nie przebywałem na szczycie zbyt długo. Skierowaliśmy się z tatą w dół, w kierunku jego ulubionego Schroniska na Hali Kondratowej. Osobiście nie przypadło mi ono do gustu, ale podobno „ma klimat”. Do końca dnia czekało nas już tylko zejście do Kuźnic (byliśmy tam około 17) i dotarcie do miejsca noclegu znajdującego się na korzystnej dla dalszej aklimatyzacji wysokości prawie tysiąca metrów – w Cyrhli. Jak się okazało w trakcie krótkiej jazdy busikiem, nazwę tę należy wymawiać bez „H”.





Z okien domu, w którym nocowaliśmy, zobaczyć można było planowane na kolejny dzień górskie zdobycze. Niebo było bezchmurne i widok rozciągał się od Świnicy aż po Granaty. Góry powoli ciemniały wraz z ostatnimi promieniami słońca.

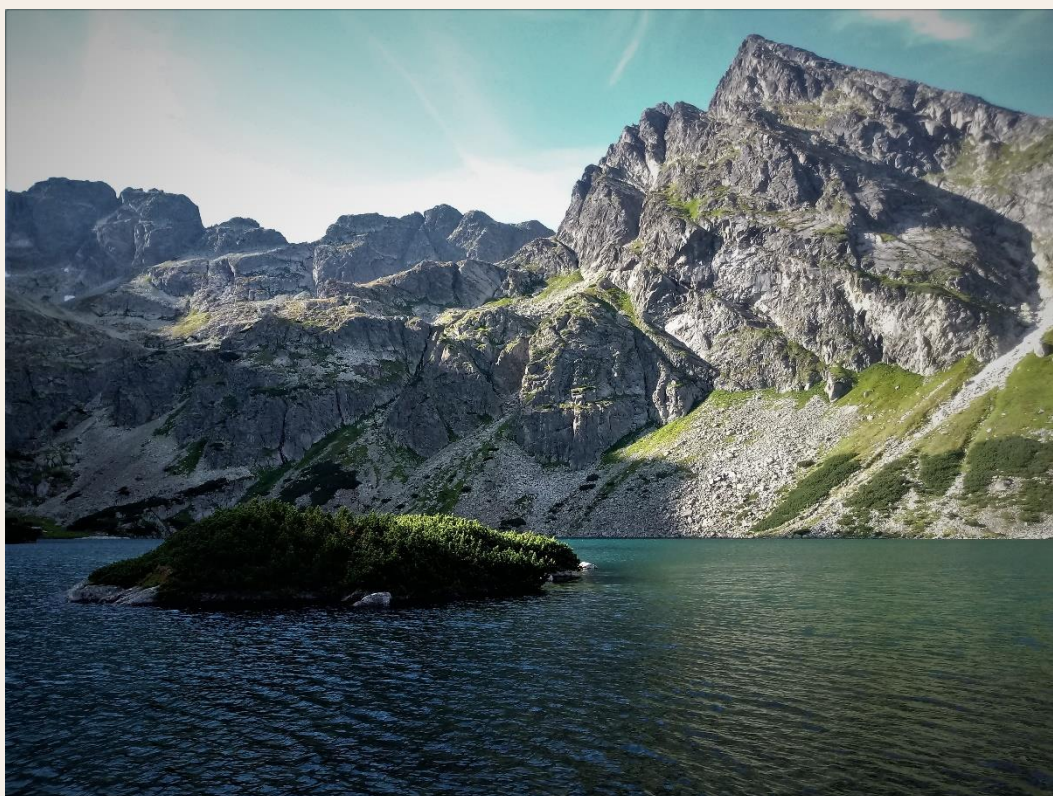


Pobudka o 5:30. Oczywiście, typowo, nie poszedłem spać o normalnej porze (serial sam się nie obejrzy!), więc wyspany nie byłem. Przywitało mnie śniadanie iście schroniskowe – kanapki z żółtym serem i parówki. Z pewnym trudem przelykałem kęs za kęsem, przymykając oczy. Pół godziny później byłem już gotowy do wyjścia. Na zewnątrz było dość chłodno, ale pogoda zapowiadała się wybornie – lepiej niż w prognozie: pełne przejaśnienie. Pierwszym etapem było dojście do Murowańca. Zajęło to nieco ponad 1,5 godziny. Droga, najpierw przez leśne korzenie, potem częściowo wykładana kamyczkami, leniwie idąca pod górę, nie zniechęcała do marszu. Dlatego poranna przerwa w schronisku była niezbędna.

Po krótkim postoju na omówienie planu, rzut oka na mapę i uzupełnienie płynów nie pozostawało nic, jak wreszcie ruszyć „w konkret”: na szczyty i grań. Schronisko PTTK Murowaniec znajduje się na wysokości, na której zaczynają się skały i kosodrzewina. Od razu poczułem się lepiej: pojawiły się widoki zaplanowanych zdobyczy.

Idąc po kamiennych płytach, po prawej widziałem szczyt, który wielu turystów tatrzańskich wspomina jako „traumatyczny” – Kościelec. Z dołu, ze szlaku od schroniska, kojarzy się trochę z egipską piramidą, tyle że niemal czarną. Długie, płaskie zbocze wygląda prawie jak ułożone ręką człowieka i kończy się dość ostrym czubkiem. Ktoś już na nim był, mimo dość wczesnej pory. My szliśmy dalej – ku szczytom Orlej Perci.

*Czarny Staw Gąsienicowy. Z prawej strony Kościelec.*







Wierchy zasłaniały słońce, które co rusz próbowało przebić się promieniami na stronę Czarnego Stawu Gąsienicowego. Zawsze będąc przy „czarnym stawie” zastanawiam się, dlaczego jest ich w Tatrach aż tyle na tak niedużym obszarze. Czyż nie byłoby lepiej nazwać je jakoś różnie, inaczej? Może powodem nadania takiej nazwy jest to, że późno dobiega do nich słońce? Wszystkie trzy stawy, które sobie przypominam, od wschodu są osłonięte przez wysokie szczyty i dlatego wyglądają na czarne w godzinach porannych. Druga możliwość jest taka, że nazwa wiąże się z ich głębokością.

Tak rozmyślając, znalazłem się już w okolicach Zmarzłego Stawu, gdzie szlaki się rozwidłały. Niebieski prowadził w stronę przełęczy Zawrat, zielony na Granaty, a żółty – czyli „nasz” – na Kozią Przełęcz. Od tego miejsca zwiększyły się trudności, zrobiło się bardziej stromo, teren zdominowały piętrzące się w górę skały. Zaczęliśmy, jak mawiają wspinacze: „napierać”. Tempo mieliśmy dobre. Na tym odcinku pojawiły się pierwsze łańcuchy i bardziej „wymagające” skałki, po których w dodatku spływały stróżki wody, co zmuszało do większej ostrożności w poruszaniu się. Był to jednak ledwie przedsmak tego, co miało niebawem nastąpić.

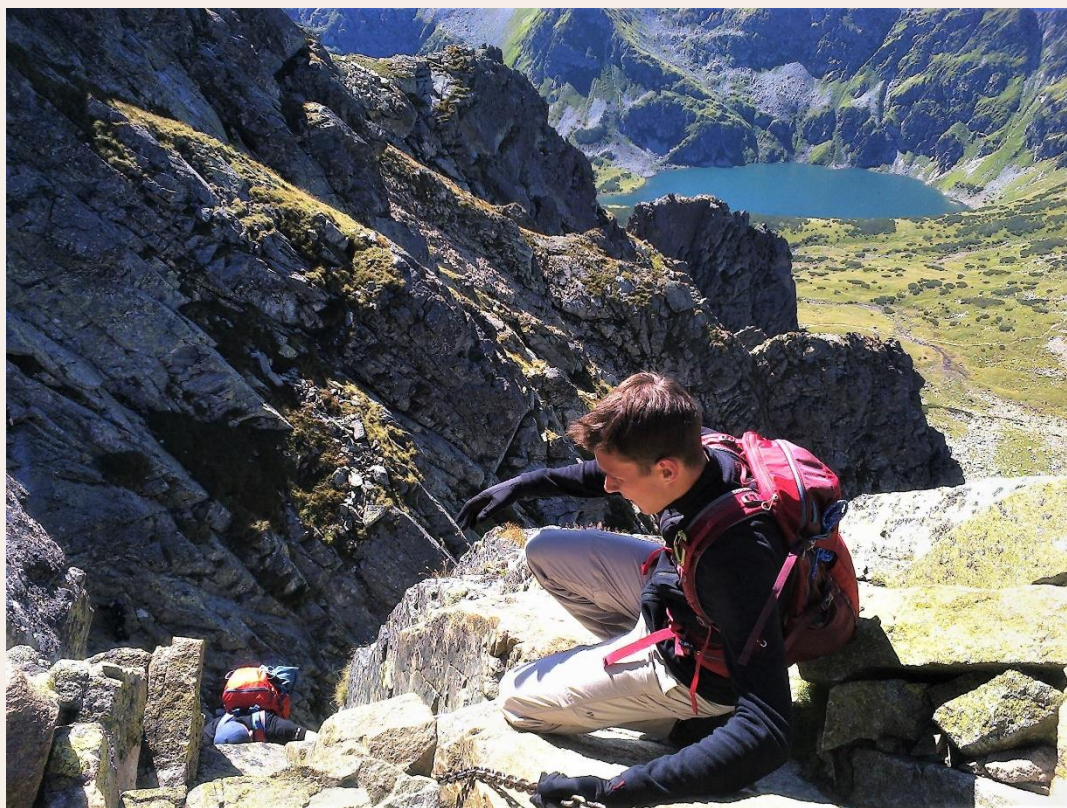


*Panorama ze zbocza pod Kozią Przełęczą w kierunku Czarnego Stawu Gąsienicowego.*







Kozia Przełęcz to przesmyk pomiędzy Zamarłą Turnią a Kozimi Czubami. Czerwony szlak, zwany też Orlą Percią, jest na tym odcinku jednokierunkowy i prowadzi w stronę Koziego Wierchu. Wysokogórskich atrakcji i towarzyszących im emocji nie trzeba tu specjalnie szukać. Wybitne ekspozycje i wspinaczkowe wyzwania – gwarantowane. To w tym miejscu, po „zaliczeniu” słynnej drabinki, przed sześcioma laty przerwałem swoją przygodę z Orlą Percią, schodząc wtedy w kierunku Doliny Pięciu Stawów. Wreszcie przyszła pora na dokończenie trasy. A więc: w górę, na grań!



*Kozie Czuby.  
W tle Czarny  
Staw Polski.*

Już pierwszy trawers po skale od przełęczy zamieniał nogi w galaretę (mimo to mój tata był w stanie ustać i robić tam zdjęcia). Ekspozowane przejście po półce skalnej, gdy trzymasz się łańcucha lub co wygodniejszych występów skalnych i masz pod stopami „powietrze” – przepaść na przynajmniej 200 metrów – nie należało do najprzyjemniejszych początków. Ale trzeba to zrobić. Szlak prowadzi w jednym kierunku, nie ma innej drogi. Takim przejściom towarzyszy intrygujący rodzaj strachu, którego nie czuję nigdzie indziej. Strachu, który nie paraliżuje, a powoduje pełne skupienie, stan koncentracji. Wzrasta poziom adrenaliny, wzrok wyostrza się, oddech skraca, człowiek staje się bardziej czujny, ręce muszą być silniejsze, a nogi pewniejsze. Liczy się każdy krok. Do przodu, w górę. Zaczynasz bacznie obserwować każdy swój ruch, ale też i każdy element skały, który może posłużyć za stopień czy chwyt.



Pierwszy odcinek trasy pokonałem dość szybko, czując przyływ energii. Dalej czekały przecież kolejne wyzwania. Grań Kozich Czubów kończy się stromym zejściem do skalistej przełączki, skąd zaczyna się „atak szczytowy” na Kozi Wierch. Ten odcinek wykraczał poza moje oceny trudności. Zaczynało się go od wykonania trudnego manewru przejścia skały, która pochyłona jest tak, że „odpycha” w stronę przepaści. Tak jak zawsze z wielką radością w trudnych momentach „przytulam się” do skały, to tu marzyłem o jak najszybszym wyrwaniu się z jej objęć. Po przegramoleniu się przez przeszkodę zobaczyłem spadek terenu – wąski żleb (może bardziej tzw. komin) o nachyleniu prawie 90 stopni, z powbijanymi kłamrami. Czyli: pionowo w dół. Nic trudnego, pomyślałem, i mimo przepaści sięgającej pod sam Czarny Staw Polski, niemal wskoczyłem w ułom skalny. Ku mojemu zaskoczeniu po pokonaniu paru klamer nie było dalej kolejnej! Chwilę szukałem dogodnego fragmentu skały, by podeprzeć stopę, lecz nie znalazłem.

Nie było innego wyjścia: z wielkim strachem, bez stopnia na nogę, który jest przecież kluczowy w górskiej wspinaczce, opuściłem się w dół na łańcuchu niczym komandos ze śmigłowca na linie. Po całym wydarzeniu stwierdziłem, że schodzenie w tym miejscu było dla mnie najtrudniejszym momentem całej trasy.

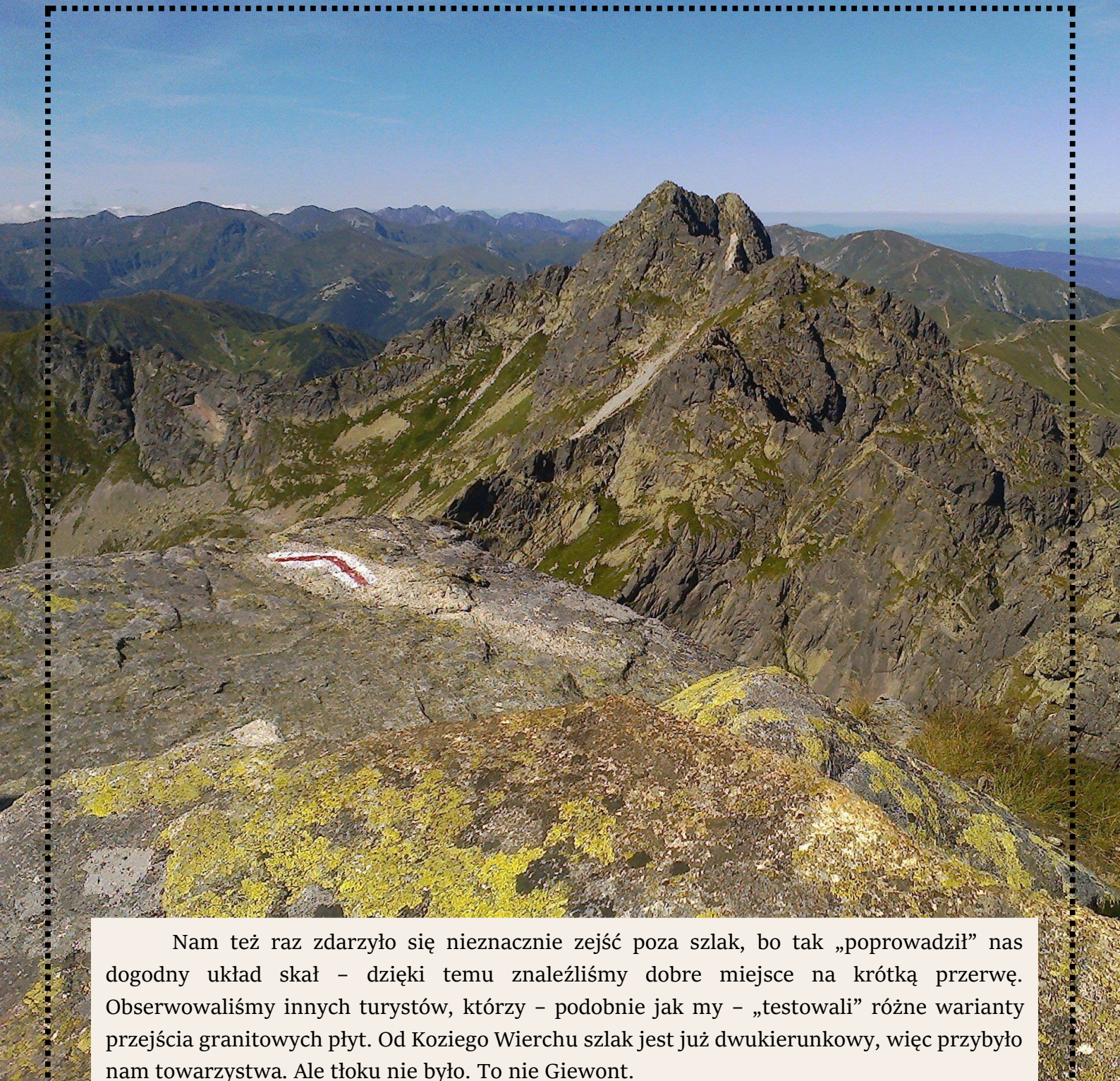
Teraz już napierałem na szczyt. Podejścia szły jakoś sprawniej, więc po półgodzinnej wspinaczce, z pomocą stabilnych skał i asekuracją łańcuchów, wdrapałem się bez problemu na upragniony Kozi Wierch (2 291 m n.p.m.). Była godzina 11, dobry czas, zgodnie z planem. Dłuższy odpoczynek na szczycie pozwolił na przemyślenie tego, co właściwie przeżyłem. Patrząc na Kozie Czuby i odcinek grani, który przebyłem, wyciągnąłem przynajmniej jeden wniosek, dla mnie ciekawy: nie miało znaczenia, czy do podstawy ściany są 2 metry czy przepaść ma 200 metrów – „efekt psychologiczny” jest ten sam, w odróżnieniu od czasu ewentualnego spadania.

Dopiero po dotarciu na najwyższą górę stojącą w całości po polskiej stronie Tatr (czyli najwyższy szczyt w całości na terenie Polski) pierwszy raz świadomie zapoznałem się z rozległym otoczeniem. Widoczność była perfekcyjna, obserwowałem właściwie całe Tatry. Od jednej strony, z której przyszedłem: Świnica, zmały z tej wysokości Kościelec, Kasprowy Wierch i „zdobycze” z poprzedniego dnia oraz dalsze pasmo Tatr Zachodnich; u podnóża Koziego Wierchu – osłoneczniona Dolina Pięciu Stawów, a wokół niej wspaniały przegląd najwyższych szczytów po słowackiej stronie – Krywań, Gerlach, Łomnica i inne. Oczywiście, Rysy też dostrzegłem, a gdzieś tam w oddali nawet Pieniny.

Taka panorama towarzyszyła mi przez większość dnia, jednak na trasie, którą pokonywałem, bardziej myślałem o niezgubieniu z oczu biało-czerwono-białego prostokąta. Na tym wymagającym ciąglej uważności szlaku człowiek tak skupia się na każdym kolejnym ruchu, że czasami ogranicza zasięg wzroku jedynie do „wyciągnięcia ręki” i znalezienia punktu podparcia. Dlatego zdarza się niektórym turystom zbaczać z oznakowanej trasy, zwłaszcza tam, gdzie nie ma łańcuchów i innych sztucznych zabezpieczeń. Mimo że na Orlej Perci znaki szlaku są właściwie co pięć metrów. Musi to być szczególnie groźnie podczas złej pogody, we mgle.







Nam też raz zdarzyło się nieznacznie zejść poza szlak, bo tak „poprowadził” nas dogodny układ skał – dzięki temu znaleźliśmy dobre miejsce na krótką przerwę. Obserwowaliśmy innych turystów, którzy – podobnie jak my – „testowali” różne warianty przejścia granitowych płyt. Od Koziego Wierchu szlak jest już dwukierunkowy, więc przybyło nam towarzystwa. Ale tłoku nie było. To nie Giewont.

Minęliśmy bez problemów Buczynową Strażnicę i ruszyliśmy zdobywać Granaty, przechodząc ponad Żlebem Kulczyńskiego, z którego na Orlą Perć dochodzi czarny szlak. Na tym odcinku czerwony szlak jest, jak wspomniałem, dwukierunkowy. Co nie znaczy, że znikają trudności wspinaczkowe. Dodatkowo na „łańcuchowych” odcinkach bywają małe problemy logistyczne – trzeba nieraz poczekać na wolną drogę. Po stanowiących spore wyzwanie odcinkach szlaku teraz był czas na swego rodzaju czujny „relaks” marszu przez bloki skalne, turnie, żleby, przełęcze. Osiągnąłem pewność ruchów i „czucie” skały, a energii jakby przybyło.



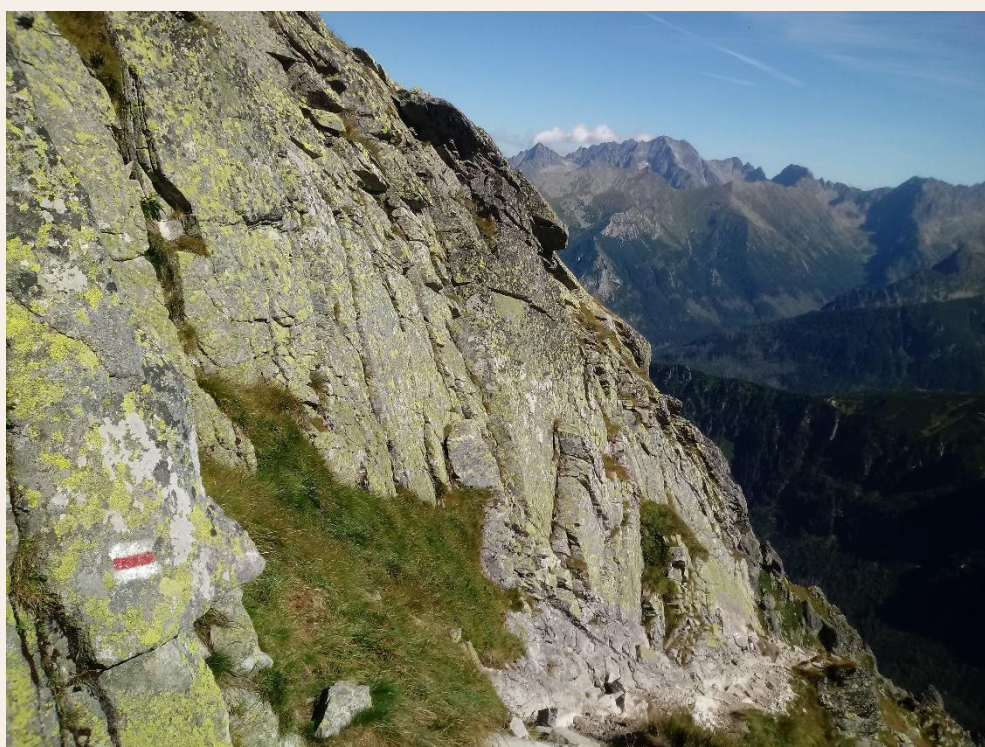




Kroki stały się niemal automatyczne, lecz dalej przemyślane, każdy stawiany rozważnie. Miałem w pamięci zasadę: zanim wykonasz następny ruch, miej zawsze przynajmniej trzy pewne punkty podparcia/uchwyty (najlepiej mieć zawsze stabilną pozycję dla nóg, a ręce wykorzystywać do utrzymania równowagi, nie „podciągać się” i nie siłować ze skałą, gdy nie ma takiej konieczności). I trzeba też wiedzieć, czego się chwycić, gdzie postawić następny krok, by nie odpaść od skalnej ściany lub nie spaść z grani.

Jak mi się zdało, w okamgnieniu znalazłem się na najwyższym z trzech Granatów – Zadnim Granacie (2240 m n.p.m.). Z kolei za Pośrednim Granatem czekała niespodzianka. Trzeba było pokonać przepaścistą szczelinę, która przypominała mi tę spod szczytu Rysów. Zrobiłem to jednym dużym krokiem, a jednak poprzedzonym krótkim zawahaniem. Został do przejścia ostatni odcinek na Skrajny Granat.

Minęliśmy przełęczkę, z której do Doliny Gąsienicowej opada Żleb Drège'a – miejsce owiane złą sławą. Ten w rzeczywistości ostro podcięty żleb, czego nie widać ze szlaku, zaczyna się bardzo łagodnie, droga do niego zachęca i wydaje się łatwiejsza niż wytyczona trasa, która go omija. Pozory mylą. Łatwy teren kończy się nagle pionowym wcięciem. Żleb Drège'a pochłonął życie wielu nieuwważnych wędrowców. Sama Orla Perć też zresztą ma na sumieniu sporo ofiar. Starłem się o tym nie myśleć, pokonując ostrożnie kolejne skalne przeszkody.



Szlak za Kozim Wierchem



Jak mi się zdało, w okamgnieniu znalazłem się na najwyższym z trzech Granatów – Zadnim Granacie (2240 m n.p.m.). Z kolei za Pośrednim Granatem czekała niespodzianka. Trzeba było pokonać przepaścistą szczelinę, która przypomniała mi tę spod szczytu Rysów. Zrobiłem to jednym dużym krokiem, a jednak poprzedzonym krótkim zawahaniem. Został do przejścia ostatni odcinek na Skrajny Granat.

Minęliśmy przełęczkę, z której do Doliny Gąsienicowej opada Żleb Drége'a – miejsce owiane złą sławą. Ten w rzeczywistości ostro podcięty żleb, czego nie widać ze szlaku, zaczyna się bardzo łagodnie, droga do niego zachęca i wydaje się łatwiejsza niż wytyczona trasa, która go omija. Pozory mylą. Łatwy teren kończy się nagle pionowym wcięciem. Żleb Drége'a pochłonął życie wielu nieuważnych wędrowców. Sama Orla Perć też zresztą ma na sumieniu sporo ofiar. Starłem się o tym nie myśleć, pokonując ostrożnie kolejne skalne przeszkody.

Za Skrajnym Granatem zmieniła się charakterystyka skał. Stały się bardziej sypkie, kruche. W żlebach trzeba było poruszać się pomału i ostrożnie, żeby nie stracić kamieni, które mogłyby zranić kogoś idącego niżej. Tata żałował nawet, że nie wyposażyliśmy się w kaski ochronne. Na szczęście dla nas ruch turystyczny na szlaku nie był duży, co zmniejszyło zagrożenie. Wraz z pokonanymi kilometrami i różnicami wzniesień, z upływem czasu nasza energia wyczerpywała się, zapasy wody też. Jedyne, co posiadało dość sporą reprezentację, to słodkie batoniki w plecaku. Dlatego ostatni odcinek Orlej Perci zapamiętałem jako próbę wytrzymałościową.

Trzeba też dodać, że szlak nie dawał za wygraną i podbijał poziom trudności, względem poprzedniego odcinka, czyli pasma Granatów. Nie był już poprowadzony głównie granią i schodził spore odległości w dół. Na tym etapie nie były to już w moim wykonaniu zejścia w stylu kozicy, a raczej turlanie się w dół – tu nie liczył się styl, ważny był tylko cel: przejść do końca Orlą Perć. Ciągle jednak, mimo zmęczenia, przy zachowaniu czujności. Góry uczą, że można więcej, niż się myślało...

Gdzieś za Granatami.



Szczególnie w pamięci zapadł mi na tym odcinku szlaku fragment drogi, którą poprowadzono tak, że łańcuchy powieszono na płaskiej ścianie – w kominie, który sięgał 5 metrów w dół. Nie było w nim żadnego bezpiecznego punktu podparcia dla nóg ani dogodnego uchwytu na ręce. Nie wiem do teraz, czy dało się to miejsce pokonać inaczej, gdyż łańcuchy w mojej opinii były tam kompletnie pozbawione użytkowego sensu (lepsze byłyby kłamry albo drabinka).



Sposobem na przejście tego komina było zaprzeć się w nim nogami o jedną stronę i plecami o drugą, i pomału zsuwać. Może nie był to sposób najpiękniejszy, ale bezpieczny i skuteczny.

Pod sam koniec, w okolicach Małej Buczynowej Turni, szlak ma ciekawą formę. To taka „powietrzna” droga, czyli w pełnej ekspozycji (z przepaściami po obu stronach) i do tego po granitowych płytach, jakby specjalnie ułożonych dla podniebnych wędrowców. Kolosalne wrażenie! Wielka górską przyjemność, mimo niedoborów energii. Ten fragment Orlej Perci był jak nagroda po całym dniu zmagania na szczytach.

Zmachani, z bagażem wysokogórskich doświadczeń, pozbawieni już wody i z rezerwą batoników, o godzinie 15:10 dotarliśmy do Przełęczy Krzyżne, gdzie kończy się (lub zaczyna, dla idących na zachód) czerwony szlak Orlej Perci. Bez zbędnego ociągania i darując sobie świętowanie sukcesu ruszyliśmy dalej. Przełęcz to dość zatłoczone miejsce, nie oferuje zbyt wiele atrakcji, poza widokiem, który mieliśmy już w pamięci. Poza tym spoglądaliśmy teraz w stronę „Piątki”, schroniska, gdzie planowaliśmy dłuższy odpoczynek.

Schodząc z przełęczy, liczyłem na pojawienie się po drodze jakiejś strużki wody i gdy usłyszałem szemranie wśród kamieni, przystanęliśmy, by skorzystać z dobrej natury. Bez wahania napiłem się górskiej wody wypływającej spod skały obok szlaku. Nic tego dnia nie dało mi tyle nowej energii, co te parę łyków prosto z ziemi.

Odpowiednio nawodniony „wyskoczyłem” od razu do przodu i pogałem szybkim krokiem w dół, zatrzymując się tylko przy kolejnych, większych strumykach. Usłyszałem odgłosy wodospadu Sikława, co zapowiadało, że zbliżamy się do Wielkiego Stawu Polskiego, jednego z pięciu jezior w dolinie. Około godz. 17 już jadłem smaczny obiad w „Piątce”, kultowym schronisku, popijając lemoniadę i słuchając pochwał taty na temat tutejszej schroniskowej kawy, którą na życzenie dostał „bardzo mocną”, czyli: pół na pół wrzątku i fusów. Co do walorów smakowych takiego napoju nie jestem przekonany, ale że daje moc – zobaczyłem na własne oczy. Do końca trasy zostało nam już tylko ekspresowe zejście do Palenicy Białczańskiej, które minęło na rozmowach o górskich planach, wspomnieniach i dzieleniu się przeżyciami ze zdobycia Koziego Wierchu i przejścia Orlej Perci.

Gdy dotarliśmy około godz. 20 do miejsca naszego noclegu, widok był ten sam, co pierwszego wieczoru, a jednak inny. Nie były to już szczyty, które mam zdobyć, lecz te, na których byłem – zdobyte. Mimo wszystko nadal czułem się przy nich tak mały. Wieczorem nie oglądałem serialu, zasnąłem prawie od razu, gdy tylko znalazłem się w miękkiej pościeli.

### ..... **Prawdziwy dzień próby** .....

Pobudka o 9:30. Wstałem zmęczony, pomału witałem się z dniem. Półtorej godziny później byłem gotowy do wyjścia. Po szybkim marszu dotarliśmy do autobusu (ostrzy trawers po asfalcie, około 100 metrów). Z powodu „czasów pandemicznych” (powiat tatrzański był w tzw. żółtej strefie) pojazd miał ograniczenie: mógł zabrać do 29 osób. Nie dla wszystkich było to oczywiste.

Dziecięco-młodzieżowa grupa wycieczkowa, aby zaoszczędzić na kosztach transportu, wybrała tańszą komunikację miejską. Było dane nam się spotkać. I stłoczyć. Tak się złożyło, że wysiadaliśmy na tym samym przystanku, więc usłyszałem, że samych uczestników wycieczki było... 34, co oznacza, że przekroczyliśmy „normę” autobusu, zwłaszcza że w środku jechali też inni pasażerowie. Mówiąc krótko: podczas jazdy kierowca zatrzymywał się na wyznaczonych przystankach tylko po to, by ostrzegać, że miejsca brak. Ludzie prawie wypadali przez okna, a i tak parę osób próbowało się dosiąść. No, cóż... weekend w Zakopanem (ściślej: ostatnia sobota wakacji)!



Co można zrobić ostatniego, rezerwowego dnia w stolicy Tatr? Oczywiście: podjąć ryzyko i wybrać się na Krupówki. Cel był prosty jak wejście na szczyt podczas gęstej mgły – zaktualizować wiedzę na temat sprzętu turystycznego i nie dać się zdeptać. Było to wielkie wyzwanie, gdyż jest tu mrowie sklepów turystycznych. Ale na grani zakopiańskiego deptaka, trawersując pomiędzy sklepami, raczej trudno się zgubić. Łatwiej jest się zapomnieć. Wybitne ekspozycje sklepowe zachęcały swoim widokiem, a wypiętrzone domy towarowe prowokowały, by je zdobyć, pełne konsumpcyjnych atrakcji. Spokojnie napieraliśmy w kierunku kolejnych sztydów. Ceny niektórych produktów sprawiały, że ciężko było ustać. Z kolei na siedzenie wśród budek z lodami i podhalańskimi pamiątkami made in China zabrakło nam energii. Ruszyliśmy z powrotem pod górę.



Bardzo ciekawymi miejscami do odwiedzenia właśnie na takie dni są jaskinie w okolicach Zakopanego. Część z nich – Mylna, Raptawicka, Smocza Jama i Dziura – to po prostu fragmenty szlaków. Wchodzi się tam bez żadnego przewodnika. Jaskinie w Dolinie Kościeliskiej udało mi się spenetrować 6 lat wcześniej i teraz została jedynie ta o niebanalnej nawie: Dziura. Leży ona najbliżej Zakopanego. To niesamowite uczucie, kiedy wchodzisz do takiej zimnej jamy, zwłaszcza w słoneczny, ciepły dzień. Jedynym źródłem światła jest to, które przyniesiesz ze sobą (polecam tzw. czołówki; oświetlenie ze smartfonów, choć w Dziurze popularne, okazuje się mało praktyczne, bo w jaskini jest dość śliskie obniżenie terenu, więc wolne ręce mogą się przydać). W mrocznych ciemnościach czuje się niepewność i dreszczyk emocji.

Po tych drobnych przeżyciach przyszedł moment na zasłużony obiad. Gdy czekaliśmy na podanie posiłku, nagle nad Zakopanem rozległo się dudnienie. To leciał śmigłowiec TOPR-u. Niesie to zawsze tę myśl, że coś się stało w górach. Nie wspominałem o tym wcześniej, ale ratunkowy śmigłowiec w sezonie turystycznym lata tu właściwie codziennie. Przypomina to o tym, że w górach jesteśmy tylko gośćmi. Wycieczka, którą odbyłem, może nie idealnie, ale była jednak zaplanowana i przemyślana. Mieliśmy właściwy sprzęt, odpowiednie buty, lekkie plecaki itp. i dużą motywację. Moja tatrzańska wyprawa trwała krótko i była intensywna, bo wykorzystaliśmy odpowiednią porę roku i pogodę. Ważna jest aklimatyzacja, nie każdemu wystarczy dzień czy dwa, by ruszyć w wysokie góry.

Wprawdzie pierwszego dnia startowałem na szlak po nocy spędzonej w przedziale pociągu, który w dodatku wiozł mnie z niziny, jednak jechałem do Zakopanego po tygodniowym pobycie w innych, niższych górach.



Myślę, że ważne jest dobre przygotowanie, ale też to, żeby na szczytach czuć się pewnie. I mimo wszystko warto też nie odmawiać sobie odrobiny mobilizującego strachu. W górach zawsze trzeba uważać, kierować się rozsługą, nie kozaczyć. Na przykład kiedy zbierają się niepokojące chmury, nie należy pchać się na szczyty. Sześć lat temu byłem godzinę drogi od Giewontu, ale musieliśmy zawrócić, bo było duże prawdopodobieństwo burzy. Dobrze jest oceniać właściwie swoje siły. Oczywiście, jest TOPR i GOPR, który może nam pomóc, gdy zawiodą inne sposoby na bezpieczny powrót z gór. Warto pobrać aplikację „Ratunek” czy zapamiętać numer do GOPR (601 100 300), ale trzeba pamiętać, że to nie jest darmowa taksówka ze szczytów.

Zbliżała się godzina odjazdu pociągu do Poznania. Znów byliśmy przy barze Fis. Tym razem skorzystaliśmy z jego bogatej oferty i zjedliśmy pożegnalną kolację w Zakopanem. Jestem pewien, że do tematów tatrzańskich trzeba będzie jeszcze powrócić, nie tylko na łamach „Rozjazdów”.



Igor Stryniak

wrzesień 2020



Imię. Nazwisko. Paszport. Po co Pan/Pani tu przyjechał/a? Czy ma Pan/Pani coś do oclenia?

Niezmienny zestaw pytań powtarzających się kiedyś przy przekraczaniu każdej granicy. My też postanowiliśmy przygotować stały kwestionariusz dotyczący podróżowania, a o odpowiedzi będziemy prosić obecnych członków Koła Turystycznego oraz absolwentów.

Dziś kontrolę graniczną przechodzi Weronika Kowalak, która brała udział w 15 wyprawach Koła Turystycznego w latach 2016-2019.





Top 5 miejsc z Twojej listy wymarzonych miejsc do odwiedzenia

W szpilkach.

Przed wstąpieniem do kółka turystycznego morze, teraz góry.

Góry czy morze?

1. Park Narodowy Yellowstone (żeby zobaczyć miejsce, które widziałam dzień w dzień na okładce książki od geografii w I klasie liceum :))

Na Giewont w szpilkach czy w klapkach?

2. Park Narodowy Wielkiego Kanionu

3. Muzeum ABBY w Sztokholmie

4. Maligne Canyon w Kanadzie

5. Universal Studios Hollywood

Pełen spokój.

Niestety wечно spóźniona :)

Zawsze na czas czy wечно spóźniona?

Cały Budapeszt.

Przed wyjazdem pełen spokój czy rajzefiber?

Miejsce, które w odbytych do tej pory podróżach zrobiło na Tobie największe wrażenie?

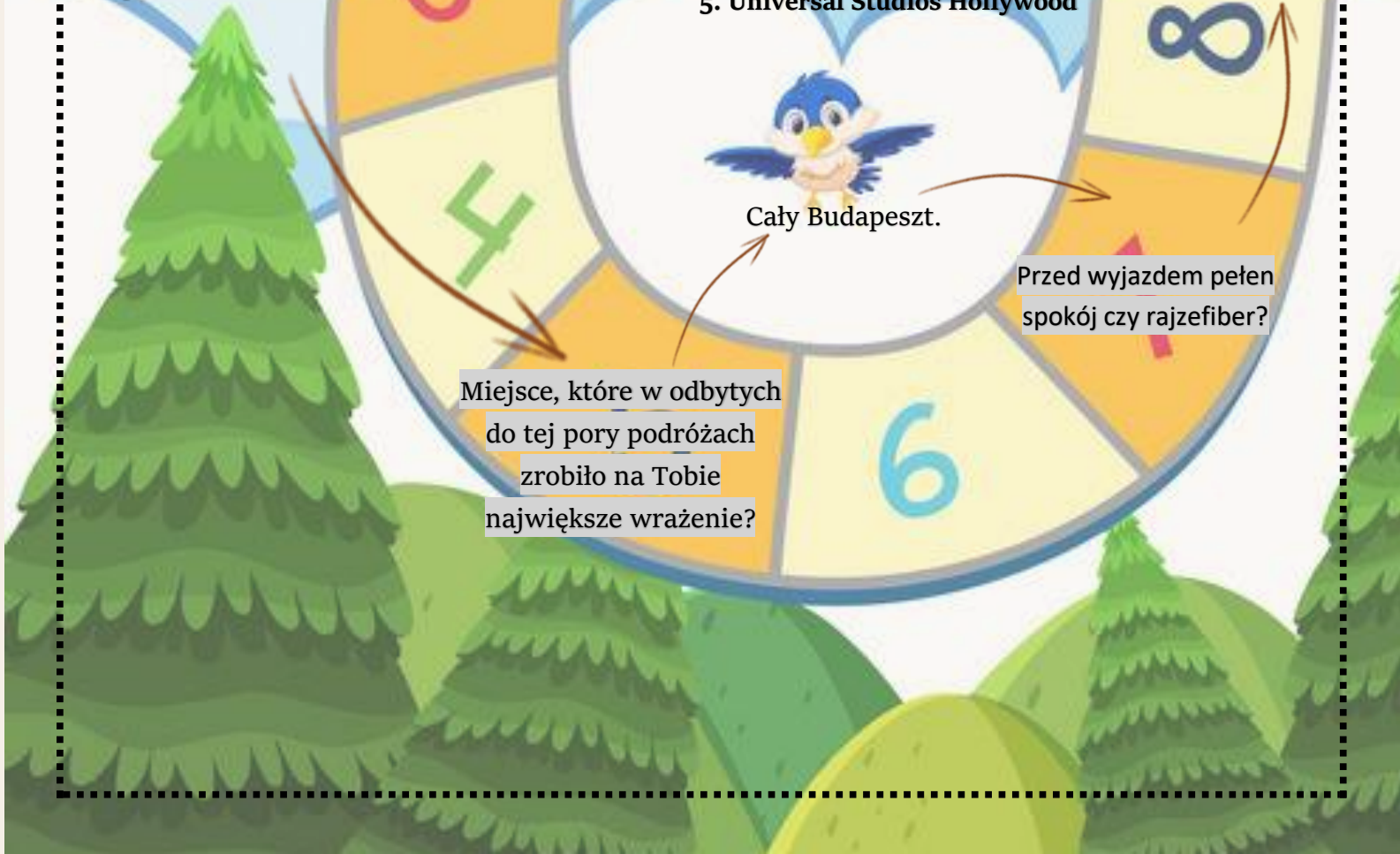
6

8

10

2

4





Jaki nastrój taka pogoda.

Jaki nastrój taka pogoda czy jaka pogoda taki nastrój?

12

O wszystkim mogę zapomnieć, ale zawsze spakuję do plecaka...

Wyjazd do Pragi samemu na 3 dni bez wcześniejszego planowania oraz wylądowanie na złym lotnisku w Hiszpanii z powodu mocnego

Twoja najbardziej szalona podróżnicza przygoda?

...okulary przeciwsłoneczne



Kołacz węgierski, najlepszy w Budapeszcie.

Najsmaczniejszy lokalny przysmak, który jadłaś?

16

Jak trafiłaś do Koła Turystycznego?

O Boże! Nogi nawet mnie teraz bołą, jak myślę o tym wyjeździe. Było super! Haha!

Zostałam zaciągnięta przez Mariannę i Karinę :D

Time's up!

Najlepszy sposób na relaks po wyrypie z Kołem - krótka drzemka czy partyjka Time's Up z prof. Matuszewskim w drużynie?

Co najbardziej lubisz w wyjazdach z Kołem?

Zapora Pilchowice?

Możliwość oderwania się od szkolnej rzeczywistości i że zawsze się dobrze bawiliśmy, niezależnie czy byliśmy zgubieni w lesie czy wdrapywali się na przedwierzchołek. :D

18





# Chwila na zatrzymanie?

Na początku, chcąc utrzymać seryjność, myślałam, że kolejny artykuł będzie poświęcony nocy. Napisałam takie dwa po czym zmięłam i wyrzuciłam do kosza. Nie były wystarczająco dobre i nie oddawały tego co czułam i co chciałam przekazać. Ale wtedy wstałam w sobotę rano, usiadłam na tarasie przed domem z kubeczkiem i pomyślałam, że sposób w jaki napiszę będzie inny.

Chciałam napisać o naszym odbieraniu otoczenia i przyrody- podczas podróży, ale też w miejscu, w którym żyjemy. Dzisiejsze czasy są dosyć specyficzne, ponieważ mamy w kieszeni małe urządzenie, które skutecznie potrafi przejąć sporą część naszej uwagi. Wpływa to tak, że skupiamy się na bodźcach pochodzących z jednego źródła w naszych dłoniach i pomijamy, bądź odbieramy przytępione bodźce z całego otoczenia zewnętrznego, które ma o wiele większą powierzchnię, (bądź czasem ich nawet nie odbieramy). Wpływa to mocno na nasze poznanie świata i możliwości zaobserwowania wielu zjawisk.

Co robi człowiek XXI wieku, kiedy ma po prostu krótką chwilę? Automatycznie sięga po telefon, nawet często tylko z nawyku. Stwierdzając, że tego czasu i tak mamy tylko "resztówkę" i nie można już nic sensownego z nią zrobić, wyciągamy smartfona i znowu nie dajemy sobie pola do pomyślenia.

I właśnie taka myśl mnie naszła we wrześniowy poranek, że damę sobie za mało pola do poprzebywania ze samą sobą (bez osobistego agenta FBI w kejsie w kotki) i z moimi myślami, ale i do dokładnego wsłuchania się w zjawiska mnie otaczające, tak istotne w podróżowaniu. Dopiero wyteżając zmysły, nie zakłócając ich dodatkowymi bodźcami, możemy rzeczywiście poczuć miejsce, w którym się znajdujemy (a po to też się właśnie podróżuje). Za często automatycznie sięgam do kieszeni. Usiadłam na tarasie, z kubkiem yerby i bułeczką z suszonymi pomidorami oraz ogórkiem kiszonym (nie polecam jakoś bardzo), bez telefonu. Słoneczko przebijało przez całą jesienną aurę i podświetlało pomarańczowo-żółte liście kasztanowców, usłyszałam co najmniej trzy różne głosy ptaków. To było co zaobserwowałam przez pierwsze piętnaście sekund siedzenia. Z każdą chwilą dłużej, byłam w stanie zaobserwować więcej warstw rzeczywistości, jakby kalki nakładały się jedna na drugą, układając się w coraz głębszy obraz. Przyjrzałam się, że w powietrzu lata mnóstwo małych robaczków i każdy z nich w inną stronę. Poranek był chłodny, ale przyjemny, usłyszałam szelesty na leszczynie nad sobą i zobaczyłam, że wiewiórka skacze to w jedną to w drugą stronę po najwyższych gałęziach. Zaczęło do mnie docierać szczekanie psów.

A to na co chciałam tutaj zwrócić uwagę, to stosunek czasu naszego wyciszenia się, do ilości obserwowanych zjawisk. Jest to ważne dla podróżnika, jak już wspominałam wcześniej, ponieważ w ten sposób możemy wyciągnąć znacznie więcej z odwiedzanego miejsca. Warto jest usiąść na chwilę, pooddychać głęboko i wczuć się w otoczenie. Możemy wtedy usłyszeć w przypadku bardziej dzikich wypraw, mnogość życia w przyrodzie czy poczuć klimat kulturowy w bardziej miejskiej dżungli. Chciałabym zwrócić uwagę na cenę stanu wyciszenia i skupienia na świecie zewnętrznym, co właściwie nie jest antagonistyczne do skupienia na świecie wewnętrznym.

Nie chciałam tym tekstem też ująć przydatności smartfonom, ani też okazać się hipokrytką, bo oczywiście korzystam z niego, jest dużym ułatwieniem to, że można nim zapłacić, znaleźć drogę czy przydatne informacje. Jednak chciałam zmusić, do refleksji czy nie ma go w naszym życiu za dużo (albo innego czynnika, który zabiera naszą uwagę do tego stopnia, że nie do końca możemy skupić się na otoczeniu). Czy nie zapełnia każdych wolnych pięciominutowych przestrzeni. Czy nie zasłania nam czegoś istotnego, czy nie tracimy na tej transakcji i ile możemy zaobserwować, kiedy nic nas nie rozprasza?

Chciałabym gorąco zachęcić wszystkich naszych czytelników do zwolnienia trochę tempa. Może nie całego życia (choć byłoby to piękne, niestety- utopia), ale danie sobie w trakcie dnia momentu lub dwóch na wyciszenie, a przez to skupienie się na otoczeniu, bo jest naprawdę bogate, a także w podróży, żeby więcej z niej skorzystać.

Bardzo przyjemnym do tego celu momentem jest czas przed snem. Można i często się wtedy nam zdarza jeszcze zrobić rundkę po mediach społecznościowych. A można by inaczej. Mamy zazwyczaj możliwość otworzyć okno i usiąść przy nim na chwilę. Odetchnąć wieczornym powietrzem i posłuchać wszystkich dźwięków naokoło. Z okolicznych drzew, jeśli nasza okolica jest spokojniejsza słychać wtedy śpiew nocnych ptaków. A jeśli mamy to szczęście i posiadamy balkon, taras czy ogród możemy zapakować się w koc i obejrzeć jesienne gwiazdy. Uwielbiam ostatnimi czasy zawijać się w ogromny, różowy koc, kłaść się w nocy, na tarasie (prawdopodobnie tak przeiębiłam nerki kiedy było parę stopni, "gorąco" polecam) i oglądać niebo. Ptaki nocne śpiewają, a takie uspokojenie głowy świetnie wpływa na sen.

Naprawdę zachęcam do zatrzymywania się w życiu na małe postoje, żeby się upewnić czy nie gubimy czegoś ważnego, ale też dla profilaktyki zdrowia psychicznego.

Kamila

19.09.2020 Poznań



## ZGUB SIĘ W LABIRYNCIE ZAMKOWYCH KORYTARZY!



W cyklu „Bądź turystą we własnym mieście” zaglądamy dziś do dawnego Zamku Cesarskiego. Nie będzie to jednak wizyta w galerii, seans w Kinie Pałacowym, przedstawienie w Teatrze Animacji czy warsztaty artystyczne. To właśnie z tych powodów najczęściej odwiedzamy gmach przy ulicy Święty Marcin, rzadko zapuszczamy się gdzieś w tajemnicze zamkowe korytarze. Warto to zrobić, bo Zamek jest miejscem intrygującym, niejednoznacznym i wszystkim tym, którzy mają szeroko otwarte oczy ma dużo do zaoferowania. Okazja jest wyjątkowa, bowiem niedawno zakończył się remont historycznych wnętrz, które teraz można podziwiać w pełnej krasie!

We wnętrzu Zamku naprawdę można poczuć się jak w labiryncie. W znaczeniu dosłownym, ponieważ płatanina korytarzy, sekretne przejścia, kręte klatki schodowe powodują, że łatwo się zgubić i stracić orientację. Jest w takim gubieniu się coś fascynującego, bo nigdy nie wiadomo, co czeka nas za kolejnymi drzwiami, co zobaczymy za zakrętem, jaki detal uda się dostrzec po raz pierwszy. Taki sposób zwiedzania Zamku jest najlepszy, oczywiście jeśli nie jesteś umówiony na spotkanie, nie musisz o określonej godzinie wrócić do domu. Bo zapuszczenie się w zamkowy gąszcz powoduje, że wskazówki na zegarku przyspieszają, zanim się zorientujesz w mgnieniu oku mija 20 minut, potem jedna godzina i kolejna. Jest to też labirynt w przenośni, możemy błądzić tu wśród różnych wątków i znaczeń, splatają się też w Zamku różne plany czasowe. Dawna rezydencja cesarska snuje opowieść niełatwą. Powstała w czasach zaborów jako symbol dominacji, zmieniła swoje przeznaczenie w II Rzeczpospolitej, po mrocznej przebudowie podczas okupacji była świadkiem małej i wielkiej historii PRL. Każdy z okresów odcisnął piętno na bryle Zamku i w jego wnętrzu, czasem ślady te zlewają się, a cesarskie kolumnienki sąsiadują z propagandowym przekazem sławiącym miniony ustrój. Nic nie będzie tu oczywiste, ale na pewno będzie ciekawe.

Zamek powstał na początku XX wieku. Poznaniowi nadano wtedy rangę miasta rezydencji cesarskiej. Rozebrano umocnienia przestarzałej twierdzy poligonalnej i właśnie w ich miejscu postawiono najważniejszy budynek reprezentacyjnej dzielnicy. Wilhelm II „z łaski Bożej cesarz niemiecki i król Prus” był „władcą podróżującym”, który w Berlinie i Poczdamie spędzał zaledwie trzy-cztery miesiące w roku, pozostały czas dzielił między siedziby rozsiane w różnych częściach Prus. Jednym z takich ośrodków stać się miał zamek w Poznaniu, który cesarz ostatecznie odwiedził tylko trzy razy. Po tym jak ukończono budowę w stolicy Wielkopolski, więcej rezydencji dla Wilhelma już nie wzniesiono, jest więc poznański zamek ostatnim cesarskim zamkiem w Europie! To właśnie cesarskich śladów chcemy dziś poszukać, zostawiając sobie inne historie na kolejne wizyty.

Stawiając Zamek w Poznaniu zaborcy chcieli „umocnić niemieckość w prowincji poznańskiej”, a także nakreślić opowieść o swojej obecności w Wielkopolsce od początku dziejów. Dlatego zdecydowano się na formy neoromańskie, które miały nadać budowli zabytkowy charakter i nawiązać do dynastii Ottonów. Wilhelm II uważał się za spadkobiercę Świętego Cesarstwa Rzymskiego i często się do niego odwoływał. Rozpocznijmy od spaceru wokół Zamku i przyjrzyjmy się uważnie temu, co na zewnątrz. Zamek był szkatułką kryjącą w sobie germańskie podania, baśnie i legendy. Szczęśliwie część dekoracji i płaskorzeźb przetrwała wojenną przebudowę i możemy ich dzisiaj poszukać. Na początek zachodnia ściana, idziemy wzdłuż alei Niepodległości, a tam scena, którą na pewno znamy z opowieści na dobranoc. Czerwony Kapturek spotykający wilka dla wielu jest wielkim odkryciem, bowiem wcześniej, śpiesząc się na tramwaj lub autobus, nigdy nie podnieśli wzroku na Zamek. Z drugiej strony, od ulicy Kościuszki czekają już Jaś i Małgosia (czy też Hänsel und Gretel w wersji niemieckiej). Niełatwo ich zauważyć, podtrzymują niewielki balkonik, jak gdyby uwięzieni przez złą czarownicę. Atmosfera robi się tu tajemnicza i złowroga, bowiem kilka kroków dalej czai się smok. Inny smok ginie właśnie zabijany przez Zygryda nad wejściem do Zamku od strony ulicy Święty Marcin. Historie o Nibelungach znajdziecie też na głowicach kolumnienek. Tajemnicze stwory to karły będących bohaterami starogermańskich, średniowiecznych sag, odkurzone w XIX-wiecznych operach Wagnera. W kapitelach, wśród bajkowych bohaterów zamieszkały też postacie biblijne (król Dawid z cytrą) i święty Franciszek. Biedaczyna z Asyżu byłby zapewne zadowolony, ponieważ na zamkowych elewacjach zwierząt jest mnóstwo. Spróbujcie znaleźć je wszystkie i przyporządkować do odpowiednich gatunków. Nim wejdziemy do wnętrza, zabiorę Was jeszcze na spotkanie z królem zwierząt. Trzeba przejść przez dziedziniec, na którym znajduje się fontanna, ozdobiona przez osiem lwów. Studzienka ta jest inspirowana słynną „Fuente de los Leones” z andaluzyjskiego pałacu Alhambra. Skąd hiszpański wątek w Poznaniu? Być może na życzenie cesarza, któremu lwy spodobały się podczas podróży? Wilhelm II na pokładzie jachtu „Hohenzollern” co roku kilka tygodni spędzał żeglując po Morzu Śródziemnym. Może podczas jednego z rejsów dotarł do wybrzeży Hiszpanii, a Alhambra pozostała mu w pamięci. Naszych poznańskich lwów jest o 4 mniej i choć sama fontanna różni się nieco, to inspiracja jest wyraźnie widoczna.

We wnętrzu Zamku śladów cesarskich pozostało niewiele. Najpierw Polacy pracownicy usuwali „zabytki hohenzollerskie”. Misję polonizacji dawnej rezydencji cesarza powierzono Ludwikowi Pugetowi, krakowskiemu artyście, historykowi sztuki i kabareciarzowi, który w Poznaniu powołał do życia kabaret „Różowa Kukułka”. Do pracy musiał przystąpić z zapalem, ponieważ pruską budowlę nazywał „kartonowym pasztetem” i „wypociną mózgową typu paryskiego Sacré-Cœur”.



Spolszczony Zamek oddawano do dyspozycji Prezydentowi Rzeczypospolitej gdy odwiedzał miasto, a poznaniacy mogli zwiedzać dawne pokoje monarsze jak muzeum. Ostatnie cesarskie ślady zniknęły podczas wojennej przebudowy Zamku. Nazistom nie po drodze było z Wilhelmem i gdzie było to możliwe odcinali się od cesarskiej przeszłości. To właśnie z okresu okupacji pochodzi dzisiejszy wystrój wnętrza części zachodniej . Spacerując po zamkowym labiryncie na pewno spotkasz się z architekturą nawiązującą do klasycznych wzorców, wiele elementów będzie przeskalowanych, a ciągnące się w nieskończoność korytarze oddzielone od tego, co dzieje się na zewnątrz matowym szkłem w oknach, mogą spowodować, że poczujesz się nieswojo. Takie wrażenie chcieli osiągnąć naziści, dla których monumentalna architektura miała słać wielkość Rzeszy i jednoznacznie wskazywać jak mały i nic nie znaczący jest zwykły człowiek stający przed obliczem władzy. Spróbujmy jednak tych kilka pamiątek po cesarzu odnaleźć.

Na początku najlepiej dotrzeć do tzw. sieni przejazdowej, która zajmuje parterową część wieży. Nie będę podpowiadał jak tam dojść najłatwiej, bo, jak wspominałem, błądzenie po zamkowych ścieżkach daje tyle samo frajdy, co odnajdywanie miejsc, w które chcemy trafić. Dziś w sieni zobaczyć można wyjątkowy mebel – cesarski tron. Siedzisko z białego marmuru wzorowane jest na średniowiecznych (a jakże!) tronach biskupich. Ławę podtrzymują dwa słonie, które są symbolem mądrości, siły i potęgi (choć na tronie biskupa we włoskiej Apulii były raczej znakiem czystości, roztropności i umiarkowania). Jeszcze przed wojną tron przekazano do katedry gnieźnieńskiej w ramach „dziejowej sprawiedliwości”, Gniezno było bowiem miejscem koronacji pierwszych polskich władców. Tam przetrwał wojnę, a ukryty został tak dobrze, że odnaleziono go dopiero na początku lat 90. XX wieku i wtedy trafił do Zamku jako depozyt. To chyba jedno z niewielu miejsc, gdzie można usiąść wygodnie na najprawdziwszym cesarskim tronie! Sami sprawdźcie, jak się wtedy poczujecie, jakie myśli przemkną Wam przez głowę. Dzisiejsze miejsce ekspozycji siedziska jest dość przypadkowe, oryginalnie znajdował się on oczywiście w sali tronowej, po której nie ma już śladu (w tym miejscu Zamku znajduje się obecnie Sala Wielka). Teraz schodami wchodzimy na pierwsze piętro. Kiedyś mieściły się tutaj pokoje cesarskie, które zobaczyć można już tylko na archiwalnych zdjęciach. Niewiele pozostało też z kaplicy, która mieściła się w wieży, nad sienią przejazdową. Musiała to być przestrzeń wyjątkowa. Wyłożona mozaikami, urządzono ją w stylu bizantyjskim na wzór Capella Palatina w sycylijskim Palermo. Naziści postanowili kaplicę zniszczyć i w tym samym miejscu zbudować gabinet dla Adolfa Hitlera. Znamienne jest, że miejsce pierwotnie poświęcone Bogu, miał zająć Führer. Po remoncie historycznej części Zamku niewielkie kostki kolorowej mozaiki zostały wyeksponowane na specjalnym stanowisku. Co ciekawe, kilka elementów kaplicy i cesarskiego wyposażenia Zamku przetrwało do dziś i żyje drugim życiem.

Obiecuję, że jeszcze kiedyś podążymy ich tropem, ponieważ miejsca, gdzie można je znaleźć w Poznaniu, są ciekawe i zaskakujące. Pójdźmy jeszcze przed siebie korytarzem pierwszego piętra, na pewno zauważymy drewniane meble. One także należały do wyposażenia Zamku za czasów Wilhelma II. Potężna, drewniana skrzynia ze spiralnymi, metalowymi okuciami na pierwszy rzut oka niczym się nie wyróżnia. Okazuje się jednak, że stoi za nią rodzinna historia, która pozwala nieco bardziej po ludzku spojrzeć na rodzinę królewską. Zapewne stajecie w grudniu przed trudnym czasem wyborem prezentów pod choinkę dla najbliższych. Przed podobnym dylematem stanęła również cesarzowa i postanowiła podarować małżonkowi właśnie tę skrzynię. Są jeszcze kolumny w oknach wychodzących na wewnętrzny dziedziniec, w miejscu gdzie część mieszkalna łączyła się z pomieszczeniami reprezentacyjnymi, w których bywali goście. Kolumny nie zostały usunięte podczas wojennej przebudowy i możemy je oglądać do dziś. Jeśli macie ochotę na jeszcze kilka minut błąkania się w zamkowym labiryncie, to poszukajcie pobliskiego Holu Balkonowego. To tam swoich gości przyjmowała cesarzowa Augusta Wiktorja. Spróbujcie nacisnąć klamkę, a może uda się Wam wyjść na największy zamkowy taras. Widok będzie królewski!

Do Zamku podczas naszych turystycznych poszukiwań na pewno jeszcze wrócimy. Sporo tajemnic nadal pozostało przed nami ukrytych. Na sam koniec, dla wszystkich zagubionych w zamkowym labiryncie mam jeszcze nić Ariadny. Po zakończeniu prac renowacyjnych w kasie można wypożyczyć audioprzewodnik (można też ściągnąć na swój telefon specjalną aplikację), dzięki któremu zamkowe przestrzenie przemówią, dając możliwość wysłuchania wielu ciekawych historii. Zamek można też poznawać przy pomocy gry mobilnej „W Zamku cesarza Wilhelma” (wnętrze) oraz turystycznej gry „Tajemnica mistrza Floriana” (z zewnątrz). Obie gry, które wymagają aktywnego włączenia się w odkrywanie Zamku, znaleźć można na stronie internetowej [www.miaستotoplansza.pl](http://www.miaستotoplansza.pl). Dawny Zamek Cesarski to niepowtarzalne miejsce, które szeroko otwiera drzwi i czeka na odczarowanie. Przekonajcie się o tym sami!

Autorką wszystkich zdjęć jest Justyna Kędra

przygotowując artykuł korzystałem z:

M. Szymaniak, Przewodnik po Zamku Cesarskim w Poznaniu, Poznań 2014

katalogu wystawy „Zamek Cesarski w Poznaniu. Od pruskiej warowni na wschodzie do Centrum Kultury Zamek”, Poczdam – Poznań 2003

mapy- przewodnika wydanego przez Centrum Kultury Zamek, Poznań 2020

w celu poszerzenia wiedzy warto sięgnąć po:

Z. Pałat, Architektura a polityka. Gloryfikacja Prus i niemieckiej misji cywilizacyjnej w Poznaniu na początku XX wieku, Poznań 2011











## TAJEMNICZY KSIĄŻ

*Tekst jest relacją z wyprawy Koła Turystycznego do Książa i Świdnicy w roku szkolnym 2017/2018. W wycieczce, która odbyła się w dniach 20-21 października, udział wzięło 15 osób oraz opiekunowie prof. Jerzy Matuszewski oraz prof. Piotr Ciesielski.*

Zostaliśmy zainfekowani jeszcze przed wyjazdem. Wystarczyło chwycić książkę Joanny Lamparskiej i przeczytać o przeklętym sześciometrowym sznurze pereł, o upiorze z pobliskiej miejscowości, któremu zło załęgło się w lewym kolanie, czy o złotym pociągu, który wyruszył ze stacji w Świebodzicach i nigdy nie dojechał do Wałbrzycha. Po tych opowieściach wirus tajemnicy zaczął się rozprzestrzeniać. Najpierw powoli z osoby na osobę, z historii na historię. Po dwóch dniach spędzonych w Książańskim Parku Krajobrazowym i Świdnicy, zarażeni byliśmy już wszyscy. To był jeden z najbardziej tajemniczych wyjazdów Koła Turystycznego!

W Zamku Książ pani przewodnik sala po sali odsłaniała przed nami sekrety rodziny Hochbergów oraz ich rezydencji. Skomplikowane losy księżnej Daisy, zagadkowe podziemia, malownicze ruiny czy wulkaniczne skały z sycylijskiej Etny - miejsce to naprawdę jest wyjątkowe!

Szukając kolejnych tajemnic postanowiliśmy dotrzeć tam, gdzie turyści zaglądną rzadko - na samo dno głęboko wciętego wąwozu rzeki Pełcznicy. Najpierw zatrzymaliśmy się w baśniowych ruinach Starego Książa, gdzie wydawało się, że jeden krok przez renesansowy portal przeniesie nas do zupełnie innej rzeczywistości. Potem czekało nas zapierające dech w piersiach 80 metrów stromo w dół, podczas których wykorzystać trzeba było kije trekkingowe, ręce, a nawet inne części ciała. ;) Na dnie, wśród szeleszczących liści i szumiącej rzeki, kiedy słońce schowało się już za krawędzią wąwozu, nastrój znów stał się bardzo tajemniczy.

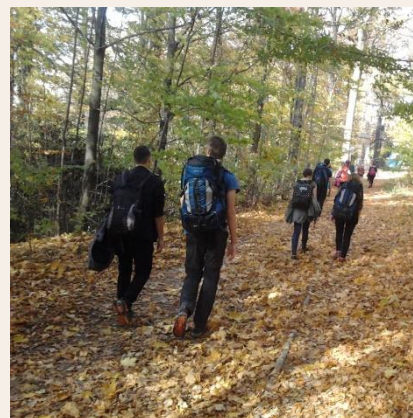
W drodze do Świdnicy odnaleźliśmy schowane w jesiennym lesie szmaragdowe jezioro Daisy. Musieliśmy zajrzeć do dwóch starych wapienników, z których jeden pełnił rolę pałacyku myśliwskiego księżnej. Przecież lista zagadek do rozwiązania rosła - do złotego pociągu i pereł zdążyliśmy już dodać bursztynową komnatę! ;) W słynnym Kościele Pokoju w Świdnicy też poczuliśmy się jak w bajce. Kolejne piętra drewnianych empor ozdobione zostały niezwykłymi malowidłami, a liczba miejsc w świątyni (7 500) mocno działała na wyobraźnię. Ile osób przychodziło tutaj przez wieki, kim byli, jakie były ich historie?



Niestety, nie znaleźliśmy dzieł sztuki ze złotego pociągu, ale i tak cieszymy się, że Książ podzielił się z nami swoimi sekretami. W udanej wycieczce nie przeszkodziły nam nawet ukryty we mgle peron 4a, który nie chciał dać się znaleźć, zarwane łóżka, płatający figle system rezerwacji w zamku i uciekający czas, który musieliśmy dogonić, żeby odebrać nasze plecaki. To był dobrze spędzony czas!

Rozpakowując plecaki po powrocie do domu już zastanawiamy się dokąd Koło Turystyczne wyruszy następnym razem? Góry Krucze? Dolina Bobru? Masyw Śnieżnika, a może jakieś inne miejsce?

z kroniki Koła Turystycznego







Pismo „RozJazdy” nr 2 październik 2020

Wydawca: Koło Turystyczne im. Tadeusza Perkitnego

i Leona Mroczkiewicza w IX LO w Poznaniu

Opiekun wydawniczy: Piotr Ciesielski

Redaktor naczelny: Igor Stryniak

Redaktor merytoryczna: Kamila Lefler

Fotoedycja: Matylda Deckert

Grafika: Milena Podlas i Helena Olachowska

Skład: Kamila Lefler

Korekta: Weronika Dolata

Promocja: Wojciech Pruss

## **BIBLIOGRAFIA**

*bądź turystą we własnym mieście:*

M. Szymaniak, Przewodnik po Zamku Cesarskim w Poznaniu, Poznań 2014

katalogu wystawy „Zamek Cesarski w Poznaniu. Od pruskiej warowni na wschodzie do Centrum Kultury Zamek”, Poczdam – Poznań 2003

mapy- przewodnika wydanego przez Centrum Kultury Zamek, Poznań 2020

w celu poszerzenia wiedzy warto sięgnąć po:

Z. Pałat, Architektura a polityka. Gloryfikacja Prus i niemieckiej misji cywilizacyjnej w Poznaniu na początku XX wieku, Poznań 2011

Autorką wszystkich zdjęć jest Justyna Kędra



A znaleźć nas można również na

instagramie

oraz facebooku.



Drogi Czytelniku i Droga Czytelniczko,

żywemy nadzieją, że ten numer „RozJazdów” okazał się pożyteczny, interesujący czy

po prostu przyjemny. Jeśli chciał(a)byś go współtworzyć i dołączyć do naszego

zespołu, to serdecznie zapraszamy do kontaktu pod adresem: [rozjazdy@glopoznan.pl](mailto:rozjazdy@glopoznan.pl)